

Ortodoksja - Gilbert K. Chesterton

„Zacznę się martwić o swoją filozofię – napisał Street – kiedy Chesterton przedstawi nam swoją”. Dość nieostrożna propozycja, zważywszy, że skierowano ją do osoby gotowej napisać książkę pod byle jakim pretekstem.



„Zacznę się martwić o swoją filozofię – napisał

Street – kiedy Chesterton przedstawi nam swoją”. Dość nieostrożna propozycja, zważywszy, że skierowano ją do osoby gotowej napisać książkę pod byle jakim pretekstem.

Ortodoksja

Gilbert K. Chesterton

wydawca: Fronda

ilość stron: 288

Przedmowa

Książka ta została pomyślana jako uzupełnienie Heretyków, w celu ukazania pozytywnej strony obok już istniejącej negatywnej. Wielu publicystów skarżyło się, że książka Heretycy poddaje krytyce współczesne filozofie, nie proponując przy tym filozofii alternatywnej. Niniejsza książka jest próbą odpowiedzi na to wyzwanie. Jest ona

nieuchronnie pozytywna, a zatem nieuchronnie autobiograficzna. Autor pisząc ją napotkał te same trudności, które towarzyszyły kardynałowi Newmanowi w czasie pisania Apologii; czuł się zmuszony do egocentryzmu tylko dlatego, że chciał być szczery. Chociaż książki te mogą się różnić pod każdym innym względem, w obu wypadkach cel pracy był ten sam. Autorowi nie chodziło o wyjaśnienie, czy w ogóle można uwierzyć w chrześcijaństwo; chciał jedynie pokazać, w jaki sposób sam w nie uwierzył. Dlatego też książka ta została skomponowana zgodnie z zasadą zagadka – odpowiedź. Przedstawia ona najpierw osobiste i szczere wątpliwości autora, a następnie zadziwiający sposób, w jaki zostały one wyjaśnione przez teologię chrześcijańską. Autor uważa ten system religijny za przekonujący. Jeśli jednak tak nie jest, cała rzecz stanowi przynajmniej uporczywy i zaskakujący zbieg okoliczności.

Wstęp

W obronie całej reszty

Jedynym usprawiedliwieniem napisania tej książki jest fakt, że stanowi ona odpowiedź na wyzwanie. Nawet kiepski strzelec zasługuje na szacunek, jeśli przyjmuje wyzwanie na pojedynek. Jakiś czas temu opublikowałem zbiór pisanych w pośpiechu, ale za to szczerych esejów pod tytułem Heretycy. Wówczas kilku krytyków, których szanuję ze względu na ich intelekt (na wzmiankę zasługuje tu zwłaszcza G.S. Street), orzekło, że wymaganie, aby każdy udowodnił swoją teorię wszechświata, jest z mojej strony bardzo chwalebne, nie wtedy jednak, gdy sam ostrożnie unikam poparcia swoich nauk przykładami. „Zacznę się martwić o swoją filozofię – napisał Street – kiedy Chesterton

przedstawi nam swoją”. Dość nieostrożna propozycja, zważywszy, że skierowano ją do osoby gotowej napisać książkę pod byle jakim pretekstem. Koniec końców jednak Street, chociaż to on jest inspiratorem i pomysłodawcą tej książki, nie musi jej czytać. Jeżeli mimo wszystko ją przeczyta, przekona się, że na jej kartach starałem się w nieprecyzyjny i osobisty sposób przedstawić – raczej za pomocą obrazów niż logicznego ciągu rozumowania – filozofię, do której doszedłem.

Nie nazywam jej moją filozofią, ponieważ nie ja ją stworzyłem. Została stworzona przez Boga i ludzkość, i to właśnie ona stworzyła mnie tym, kim jestem.

Już wiele razy miałem ochotę napisać opowieść o żeglarzu – Angliku, który na skutek drobnej pomyłki w obliczeniach odkrył Anglię, sądząc, że jest to nieznana wyspa na Morzach Południowych. Zawsze jednak okazywało się, że jestem albo zbyt zajęty, albo zbyt leniwy, by napisać to wiekopomne dzieło. Mogę więc równie dobrze zdradzić jego treść i wykorzystać ją jako filozoficzną ilustrację. Moja opowieść zrodzi zapewne ogólne przekonanie, że ów uzbrojony po zęby i używający języka migowego człowiek, wylądowawszy, by zatknąć brytyjską flagę na szczycie pogańskiej świątyni, która okazała się Pawilonem w Brighton, musiał czuć się dość głupio. Ale jeśli uważacie, że czuł się głupio czy też, że wrażenie własnej głupoty było jego jedynym lub przynajmniej dominującym uczuciem, znaczy to, że nie dość wnikliwie zastanowiliście się nad bogatą, romantyczną naturą naszego bohatera. Jego pomyłka stanowiła w rzeczywistości pomyłkę godną pozazdroszczenia i on sam dobrze o tym wiedział, chyba że nie jest człowiekiem, za jakiego go uważam. Czy może być coś bardziej zachwycającego niż przeżycie – w ciągu kilku minut – strachu i

fascynacji, towarzyszących dalekiej podróży, w połączeniu z głęboko ludzkim poczuciem bezpieczeństwa, które ogarnia nas, gdy wracamy do domu? Czy może być coś lepszego niż radość z odkrycia Południowej Afryki bez odpychającej konieczności przybicia do jej brzegów? I czy może być coś wspanialszego niż przygotowanie się do odkrycia Nowej Południowej Walii, a następnie odkrycie ze łzami szczęścia w oczach, że tak naprawdę jest to stara, Południowa Walia? Wydaje mi się, że to właśnie jest głównym problemem dla filozofów, a w pewnym sensie także głównym zagadnieniem tej książki. W jaki sposób możemy równocześnie zdumiewać się światem i czuć się w nim jak w domu? W jaki sposób to dziwaczne, kosmiczne miasteczko z jego wielonogimi mieszkańcami i światłem monstrualnych, starożytnych lamp – w jaki sposób ten świat może być dla nas zarazem fascynujący jak nieznana osada i pełen swojskiego dostojeństwa jak nasze rodzinne miasto? Udowodnienie ze wszystkich możliwych punktów widzenia, że jakaś wiara czy filozofia jest prawdziwa, byłoby zadaniem zbyt wielkim, nawet dla książki o wiele obszerniejszej niż moja. Nie należy schodzić z raz wytyczonej ścieżki, a ścieżka, którą obrałem, jest następująca: zamierzam wyłożyć moje credo jako szczególną odpowiedź na podwójną potrzebę ducha – mieszaninę znanego z nieznanym – która w chrześcijańskim świecie słusznie zyskała nazwę romancy, romansu. Samo bowiem słowo „romanca, romans” ma w sobie tajemniczość i starożytne znaczenie Romy, czyli Rzymu. Każdy, kto zabiera się do dyskusji na jakikolwiek temat, powinien zacząć od określenia tego, czego nie ma zamiaru poddawać pod dyskusję. Oprócz stwierdzenia, czego pragnie dowieść, powinien zapowiedzieć, czego udowodniać nie zamierza. Sprawą, której nie myślę udowodniać i którą uznaję za przedmiot cichego porozumienia między mną i moim czytelnikiem, jest to, że aktywne, pełne fantazji życie, życie barwne i nie pozbawione poetyckiej ciekawości – to znaczy takie, jakiego zawsze pragnął człowiek Zachodu, jest niewątpliwie atrakcyjne dla każdego. Jeżeli ktoś woli eksterminację od egzystencji albo nudną egzystencję od

różnorodnego i pełnego przygód życia, to nie należy on do tej grupy zwykłych ludzi, do których kieruję te słowa. Jeżeli człowiek niczego nie pragnie, niczego też ode mnie nie dostanie. Ale prawie wszyscy ludzie Zachodu jakich spotkałem zgodziliby się z ogólnym twierdzeniem, że każdy potrzebuje w życiu nieco praktycznej romantyczności; połączenia czegoś dziwnego i obcego z czymś bezpiecznym i swojskim. Pragniemy spojrzeć na świat w taki sposób, by jednocześnie zadziwiał nas i zapraszał do odpoczynku. Pragniemy odnaleźć szczęście w tej krainie czarów, ani na chwilę nie ograniczając się do tego, by było nam tylko wygodnie. Właśnie to osiągnęła moja wiara i tym jej osiągnięciem chciałbym się zająć na kartach tej książki.

Miałem jednak jeszcze jeden szczególny powód, by wspomnieć o żeglarzu, który odkrył Anglię. Wspomniałem o nim, ponieważ sam nim jestem. To ja odkryłem Anglię. Nie widzę sposobu, by uniknąć w tej książce egocentryzmu; prawdę powiedziawszy, nie widzę także sposobu, by uniknąć monotonii. Monotonia jednak uwolni mnie przynajmniej od zarzutu, nad którym najbardziej boleję; zarzutu nonszalancji. Tak się składa, że pusta sofistyka jest rzeczą, której nienawidzę bardziej niż cegokolwiek innego i dlatego zdrową naukę stanowi dla mnie fakt, iż właśnie o nią jestem najczęściej oskarżany. Nie znam nic godniejszego pogardy niż paradoks stworzony dla samego paradoksu lub błyskotliwa obrona tego, czego naprawdę obronić nie sposób. Gdyby było prawdą, że (jak mówią) Bernard Shaw żyje z tworzenia paradoksów, powinien do tej pory stać się milionerem; człowiek o umyśle tej klasy potrafi bowiem wymyślić dziesięć sofizmatów na godzinę. Jest to tak proste jak mówienie kłamstw, bo w rzeczywistości nie jest niczym innym. Oczywiście, prawda wygląda inaczej: Shaw jest okrutnie ograniczony przez fakt, że nie może powiedzieć żadnego kłamstwa, dopóki nie uwierzy w jego prawdziwość. Ja sam znajduję się w tych samych nieznośnych pętach. Nigdy w życiu

nie powie- działem czegoś tylko dlatego, że uważałem to za śmieszne. Chociaż rzecz jasna nie jestem pozbawiony zwykłej ludzkiej chępliwości i mogłem uważać, że coś jest śmieszne tylko dlatego, że ja to powiedziałem. Opisać rozmowę z gorgoną albo gry- fem, czyli istotą, która nie istnieje, to jedna sprawa. Natomiast odkryć, że nosorożec istnieje i móc rozkoszować się faktem, że wygląda tak, jakby nie istniał, to coś zupełnie innego. Szukamy prawdy, ale może się okazać, że instynktownie poszukujemy prawd bardziej niezwykłych. Dedykuję tę książkę z najszczer- szymi uczuciami tym wszystkim wesołkom, którzy nienawidzą mojej pisaniny i uważają ją (o ile wiem, nie bez racji) za kiepską błazenadę lub jeden zbyt długi, nudny żart.

Jeżeli bowiem książka ta jest żartem, jest to żart ze mnie samego. Ja sam jestem tym człowiekiem, który zdobył się na szaleńczą odwagę, by odkryć to, co już przedtem zostało odkryte. Jeśli w dalszych rozdziałach można znaleźć element farsy, jest to farsa moim kosztem. Książka ta opowiada bowiem, jak uległem złudzeniu, że jestem pierwszym człowiekiem, który postawił stopę w Brighton, a potem odkryłem, że uczyniłem to jako ostatni. Opisuje ona moje słoniowe przygody w pogoni za oczywistością. Nikomu mój przypadek nie może wydawać się bardziej absurdalny niż mnie samemu; nikt z czytelników nie może zgłaszać pretensji, że robię z niego błazna, bo to ja jestem błaznem w tej opowieści i żaden buntownik nie zrzuci mnie z mego tronu. Dobrowolnie przyznaję się do wszystkich idio- tycznych ambicji końca dziewiętnastego wieku. Próbowałem, jak wielu innych poważnych, małych chłopców, wyprzedzić epokę. Tak jak oni próbowałem choć o dziesięć minut wy- przedzić prawdę. A na koniec odkryłem, że to ona wyprzedziła mnie o osiemnaście stuleci. Z boleśnie młodzieńczą przesadą wypowiadałem swoje prawdy podniesionym głosem. I zosta- łem ukarany w najodpowiedniejszy a zarazem najzabawniejszy sposób: nie zostałem pozbawiony swoich idei,

odkryłem zaś nie to, że nie są one prawdziwe, ale po prostu, że nie są moje. Gdy wydawało mi się, że stoję samotnie, znajdowałem się w rzeczywistości w dość zabawnej pozycji: byłem wspierany przez całe chrześcijaństwo. Jest możliwe – niech mi Bóg wybaczy – że starałem się być oryginalny, ale jedyne, co mi się udało, to wynalezienie, zupełnie na własną rękę, istniejących już tradycji cywilizowanej religii w nie najlepszej wersji. Nasz żeglarz sądził, że jako pierwszy odkrył Anglię, ja byłem przekonany, że jako pierwszy odkryłem Europę. Próbowałem stworzyć własną herezję, a kiedy robota była skończona, okazało się, że wynalazłem ortodoksję.